

Sensei

Zacznę od powieści i od sytuacji całkowicie zmyślonej. Odbywa się pogrzeb prezydenta USA Rogera Durlinga, zabitego w 1996 r., w dniu jego zaprzysiężenia, wskutek zamachu terrorystycznego, dokonanego przez Japończyka; na pogrzebie jest obecny premier Japonii Mogataru Koga, przemawia Jack Ryan, najwyższy rangą urzędnik amerykański, spośród tych, którzy nie zginęli w owym zamachu, doradca ds. bezpieczeństwa prez. Durlinga (a bardzo rychło – następcą Durlinga na urzędzie), właśnie zwraca się do dzieci swojego zabitego szefa i przy tym potrafi powstrzymać się od ukrycia łez i wzruszenia. Postępuje wbrew stereotypowi (obowiązującemu mężczyźni w świecie polityki, a może szczególnie – w Japonii), ale właśnie z powodu odwagi zachowania się w tej sposób zasługuje na ocenę, którą prem. Koga wyraża w wewnętrznym monologu: „Ryan był samurajem.” (Tom Clancy, *Dekret*, Wydawnictwo Adamski i Bieliński, Warszawa 2001, str. 120-121).

Podobne można by rzec o Andrzej Bokińcu (zwłaszcza usłyszawszy to, co w kościele pod koniec mszy pogrzebowej powiedzieli prof. Krystyna Sulkowska-Tuszyńska i prof. Andrzej Kowalski), ale z zamianą japońskiego słowa *samurai* na inne japońskie słowo, a mianowicie na *Sensei*. Oraz na greckie, ale też od S się zaczynające: Sokrates.

Sam tego doświadczałem niejednokrotnie: pytania, moja odpowiedź, potem dalsze pytania, które mnie naprowadzały na odpowiedź odmienną. Tyle, że ja nie potrzebowałem potem podsuwać indeksu Sensei'owi, stosującemu tę sokratejską metodę nauczania. Rozmaite dziedziny: geografia, historia, czasem jakieś elementarne sprawy z etnologii. Czasem zadawane przez Andrzeja – po usłyszeniu przezeń jakiejś mojej wypowiedzi – pytanie brzmiało po prostu: „czy jesteś pewny?”. I zwykle okazywało się, że byłem, ale się myliłem. Wiedział o zjawiskach językowych w mowie moich kocińskich i zwłaszcza kaszubskich krajanów więcej, niż ja wiedziałem o tym, co dotyczyło mowy mieszkańców Jego rodzinnej krainy czyli Podlasia.

Może kiedyś ja mogłem Andrzejowi imponować, skoro nakłoniłem Go w 1981 r. do uczestnictwa w Ruchu Młodej Polski a nawet w III Ogólnopolskim Spotkaniu Uczestników RMP w trzeciej dekadzie (chyba od 20 do 22) lipca 1981 r. w salce katechetycznej nowej parafii w Gdyni na Dępcach. Uczestniczył w tym Spotkaniu jeszcze jeden student archeologii z UMK – Jego imiennik Andrzej Ryba. Chyba obydwaj (a na pewno Bokinić) przybyli do Gdyni urwawszy się z wykopalisk nad rzeką Łupawą na zachodnich Kaszubach. Po uczestnictwie w gdyńskim Spotkaniu RMP zdarzyła się Andrzejowi Bokińcowi niemiła przygoda – zatrzymanie przez Służbę Bezpieczeństwa i osadzenie w areszcie milicyjnym w Trójmieście, o czym dowiedziałem się odeń dopiero po stanie wojennym. Potem role odwróciły się (choć Andrzej był młodszy ode mnie o 8 lat bez miesiąca), i to nie tylko pod względem wiedzy, ale też pod względem postawy życiowej.

Jedynie czasami, w sprawach językowych (niektórych!) to Andrzej pytał mnie o coś. [A raz (to dotyczyło okupacji hitlerowskiej na Pomorzu Wsch.) pokłócił się w mojej obecności z powinowatym – dość mocno, powołując się na mnie – i aż mi się zrobiło głupio (Andrzej wtedy z emfazą użył na mój temat wyrazu „autorytet!”), bo może nie miałem racji i może powołanie się na mnie było nietrafne? Później starałem się dostarczać Andrzejowi wycinki z gazet zarówno wspierające jak też kwestionujące ten mój pogląd, na który w tamtej sprzeczce się powołał.]

Wiele od Andrzeja dowiedziałem się, chociaż wiele z tego zapomniałem, a już nie dowiem się na nowo.

Czasami to były ujemne (*sic!*) przyrosty wiedzy – chodzi o to, iż dowiadywałem się, że posiadana przeze mnie informacja była nieprawdziwa, a więc nie mogłem nadal uważać, że „wiem” to-a-to, bo „wiedzieć” można tylko coś, co jest prawdą. To szczególny przypadek metody sokratejskiej – o. prof. Józef Bocheński (w ślad za średniowiecznymi scholastykami) nazywał to *removens prohibens* („rozbijacz zabobonów”). Takim rozbijaczem zabobonów bywał dla mnie Andrzej nieraz.

Za pierwszych miesięcy naszej znajomości zbliżyły nas poglądy inspirowane anarchosyndykalizmem Edwarda Józefa Abramowskiego i chrześcijańskim personalizmem Emmanuela Mouniera. Tak, za młodu obaj „lewicowaliśmy”. Z takim nastawieniem byliśmy przez krótki czas obaj aktywni w (raczej prawicowym) RMP. Nigdy nie był to jakiś antypatriotyzm ani nic w tym rodzaju, ale kiedy podczas tzw. karnawału „Solidarności” w całej Polsce ze sporym naddatkiem

odreagowywano uprzednie długoletnie utrudnienia w publicznym akceptowaniu Piłsudskiego (i Dmowskiego), odczuwaliśmy (chyba obydwaj) przesytną rocznicową atmosferą i np. 11 listopada 1981 r., zamiast brać udział w jakichś uroczystościach, poszliśmy po prostu na kawę do istniejącej wtedy kawiarni „Parkowa” przy rogu ulic Bydgoskiej i Konopnickiej. Myślałem, że 11 listopada 2021 roku, na tydzień przed sześćdziesiątymi urodzinami Andrzeja, znowu się zobaczymy i powspominamy „młodość górną i durną”, ale to – niestety! – okazało się niemożliwe.

Obaj przez lata doznawaliśmy ewolucji w poglądach ku prawicy. Dość równomiernie, toteż na poszczególnych etapach tej ewolucji (np. w dobie wyborów kontraktowych) raczej zgadzaliśmy się ze sobą niż nie zgadzaliśmy się. Jednym z tych etapów było krótkie (zima 1989/90 r.) zaangażowanie nas obu w świeżo reaktywowanym Stronnictwie Pracy. Chyba w nielicznych sprawach (jak np. ocena roli Lecha Wałęsy w najnowszych dziejach kraju) zmieniliśmy swoje opinie tak samo, ale nie jednocześnie. Nieraz zachęcałem Andrzeja do uczestnictwa w spotkaniach organizowanych przez (re)aktywowany 17 października 2015 r. Klub „Nowa Szewska Pasja” w Toruniu. Zazwyczaj z weekendowymi terminami tych spotkań kolidowały wizyty Jego starszego syna i jedyne wnuka w Toruniu. Tak więc znalazł się na takim spotkaniu tylko jeden raz, 3 marca 2017 r., kiedy gościem Klubu była red. Maria Przełomiec. Zachowały się zdjęcia z tego spotkania, pokazujące Andrzeja:



Andrzej Bokiniec mnie tylko wyznawał prawe poglądy, ale także według nich żył i postępował. Niejednokrotnie ubolewał nad tym, że jest coraz mniej katolików traktujących swoją wiarę na serio. Ostatnia Jego wypowiedź o zbliżonej treści zdarzyła się wtedy, kiedy ostatni raz widziałem Go żywego, podczas pierwszego weekendu września 2021 r., który spędziliśmy z innymi przyjaciółmi w Małszewie na Mazurach. Powiedział wtedy coś zastanawiającego – a mianowicie, iż podejrzewa, że Bóg spośród wielu narodów zaprzestał masowej rekrutacji do Królestwa Niebieskiego, że spośród tych narodów (między innymi z naszego, polskiego, ale wymienił najpierw japoński, bo właśnie o Japończykach rozmawialiśmy) już tylko nieliczni zostaną zbawieni.

Przyjaźń z Andrzejem to naprawdę jak **kwarantanna** (od 1981 do 2021 czyli *quarante ans* = po francusku: „czterdzieści lat”) chodzenia Izraelitów pod wodzą Mojżesza.

Konrad Turzyński